Rok 1936. 27 września Nr. 39.

DZWONECZEK

pod redakcją ELI OLESKIEJ

DZIAŁ DLA MŁODSZYCH CZYTELNIKÓW „DZWONU NIEDZIELNEGO“

Czworolistna koniczyna

Dużo bywa w całym kraju zbiórek pieniędzy na najrozmaitsze cele i potrzeby społeczne. Jak rok długi, co kilka dni spotyka się na ulicach miast kwestarzy i kwestarki z puszkami w rękach, cierpliwie i skromnie proszących o najmniejsze choćby datki na cel, uwidoczniony na puszce lub na stoliku, przy którym przysiadają, gdy nogi od długiego stania, rozbolą.

To na kolonie dla szkolnych dzieci, to na ubogich, to na chorych, to na Pogotowie Ratunkowe, na Biały czy na Czerwony Krzyż, to znów na Ligę Obrony Powietrznej Państwa czyli t. zw. L.O.P.P. i t. d. i t. d., że wielu już ludzi bardzo niechętnie sięga ręką do kieszeni dla przydania swego grosza do wspólnej skarbony. Zadużo — mówią powszechnie — tych ciągłych składek. A zapominają o tym, że wydatek 10, 20, 50 groszy, a nawet niekiedy tylko 5, nie zrobi poszczególnym ofiarodawcom większego uszczerbku, a za to w ogólnej sumie uczynią te grosze jakiś fundusz, który wspomoże dobroczynne instytucje tak, iż będą mogły znowu przez jakiś czas spełniać swoje zadanie, czy to w dziedzinie miłosierdzia czy też innej.

W zeszłym tygodniu jednak poświęcone były w całej Polsce dwa dni zbiórce całkiem niezwykłej. Kto wtedy spełnił swoją powinność i rzucił grosz ofiarny do puszki czy na tacę, odchodził z przypiętym do płaszcza zielonym czworolistem koniczyny. Jak wiadomo, znak to szczególniejszego szczęścia — podobnie jak kwiatuszek bzu o 5 czy 6 płatkach.

Znak szczęścia... Dla kogo? Czy dla tych, którzy datek złożyli, czy dla tych, dla których cała ta zbiórka była przeznaczona?

Ci, którzy dawali, byli to ludzie, jakich tysiącami spotyka się po ulicach miast, — szybko, śmiało, bez lęku spieszących chodnikami, przechodzących, nawet w ucieczce przed autami nawet przebiegających z jednej strony ulicy na drugą. Wesoło z sobą rozmawiają, śmieją się, żartują. Sprawiają wrażenie ludzi szczęśliwych, z uczuciem zatem szczęścia powinni składać swoje ofiary i z wesołym uśmiechem przyjmować wzamian czworolistną koniczynkę...

A tamci drudzy, dla których właśnie dzień cały trudzili się kwestarze, odbierając niekiedy od przechodnia zamiast choćby najdrobniejszego datku — słowa obelżywe lub nieprzyzwoite dowcipy... Tamci — nieznani nam, dla których zbiera się drobne ziarnka do ziarnka, aby się z nich zrobiła miarka — kto oni? Czy dla nich też symbolem „szczęścia“ stać się może czworolistna koniczynka?

Mój Boże! Oni przecież nawet zwykłej trójlistnej koniczyny nie mogą oglądać własnymi oczami. Ale cóż znaczy najpospolitsze ziele, jeśli dla nich zasłonięte jest na zawsze najdroższe oblicze matki czy ojca, jeżeli dla ich oczu nie istnieje jasność dnia, promienność słońca, migoty gwiazd wśród ciemnej nocy, ni srebro wędrującego miesiąca. Nie znane jest im niebo pogodne błękitem, ni zaciągnięte szarymi chmurami, nie widzą wypisanej na nich grozy nadchodzącej burzy, nie znają ognistego zygzaka błyskawicy ni cudownego łuku siedmiokolorowej tęczy... Przed nimi jeno wieczysty mrok — czarny, bezbarwny, bez uśmiechu słońca ni człowieka... Obce dla nich najświętsze wizerunki Chrystusa, cudownie piękne oblicze Marii, którą niezliczone zastępy

malarzy całego świata starało się przedstawić jak najgodniej. Nie ma dla nich przedmiotu zachwytu, bo czyliż można zachwycać się niekończącą się nigdy ciemnością?

Oto właśnie dla nich to, dla nich, dla których nie istnieje na świecie światło, — zbierano datki w całej Polsce — dla niewidomych.

Jest ich u nas na szczęście nie tak dużo jak w innych krajach, jest jednak zarejestrowanych, nie licząc niezapisanych, przeszło dwadzieścia tysięcy. To przecież cała armia, armia ludzi najnieszczęśliwszych! Nieszczęśliwymi są podwójnie, po czwórnie, po dziesięćkroć. Nie tylko bowiem pozbawieni są wzroku, a co za tym idzie tego wszystkiego, co życie daje człowiekowi widzącemu, ale poza odczuwaniem swojego strasznego kalectwa, nie mogą wieść życia normalnego, nie mogą pracować, nie mogą być pożytecznymi, lecz przeciwnie — czują, że są wszędzie zawadą, przeszkodą, poprostu: rzeczą nieużyteczną i zbędną.

Na szczęście, znaleźli się w świecie ludzie, którzy umieli odczuć i zrozumieć niedolę ślepców. Pierwszym z nich był Francuz Valentin Haüy, który w XVIII w. założył w Paryżu pierwszą szkołę dla ociemniałych. Za jego przykładem poszli inni tak, że w ciągu następnego wieku już wszystkie cywilizowane kraje w Europie miały u siebie zakłady dla ociemniałych.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Nasi „baloniarze“

Po długiej, bo 11 dni trwającej trwodze, jaka zawisła nad Polską, z powodu zaginięcia balonu LOPP, który w Warszawie wzbił się w przestworza powietrzne 30 sierpnia, nastała wreszcie wielka radość. Dał o sobie znak życia. Oczywiście nie tyle o sam balon chodziło, jak o tych, co tej kuli olbrzymiej wypełnionej gazem, powierzyli swoje życie, co wraz z innymi — tak polskimi jak zagranicznymi lotnikami, stanęli do zawodów o słynną już w świecie nagrodę, zwaną „pucharem Gordon-Benneta“.

A młodzi to wszystko śmiałkowie — niby bracia przyrodni tamtych rycerzy powietrza, co zamiast gondoli uczepionej pod balonem, samej dosiadają maszyny i z ogłuszającym warkotem motoru prują szlaki powietrzne.

Właściwie — skoro już o tem mowa — wymienić należy po drodze trzeci jeszcze rodzaj latania, uprawiany teraz masowo przez młodzież, mianowicie na t. zw. szybowcach, czyli maszynach bez motoru i bez śmigła.

Nam jednak w tej chwili chodzi tylko o balony, a raczej o samych „baloniarzy“, i to na początek o tych, którzy właśnie ostatni uspokoili kraj, powiadamiając o swym losie.

Jak wiadomo, balonem LOPP puścili się kapitan Antoni Janusz wraz z porucznikiem Brenkiem. Otóż okazuje się, że młody Antoś już od 12 roku życia zajmował się balonami. Sam je wycinał z papieru, lepił i ogrzawszy w nich powietrze za pomocą zapalonej waty, puszczał w górę. Leciały w niedługo trwającą podróż, na szczęście bez swego wynalazcy, no i niekiedy ulegały katastrofie. Jedną z takich były odwiedziny, jakie jego balon złożył przez okno w sąsiednim domu, gdzie od płonącej waty zajęły się firanki. Dobrze, że się tylko na tem skończyło.

W parę lat później wstępuje Antoni Janusz do wojska w Toruniu, gdzie biorą go odrazu do służby aeronautycznej (balonowej) i już w rok później zostaje oficerem, licząc zaledwie 19 lat. Był tam najmłodszym oficerem i zapewne marzył mu się już wówczas sławny puhar Gordon-Benneta.

Niestety, mimo że balon jego zaleciał teraz w zawodach międzynarodowych na daleką północ i podróż swą ukończył aż w pobliżu morza Białego, dzielnego lotnika i jego towarzysza spotka tylko drugie odznaczenie, gdyż pierwsze, czyli właściwy puchar, zdobył lotnik belgijski Demuyter, którego balon, pod imieniem „Belgi-

ca“ osiągnął nieco większą odległość w kierunku bardziej wschodnim.

Dopiero teraz z najpierwszych wiadomości, jakie lotnicy przysłali drogą telefoniczną, można mieć niejakie pojęcie o przygodach balonu L.O.P.P. Otóż okazuje się, że rychło po przeleceniu granicy między Polską a Rosją, w stronę której niósł go z Warszawy wiatr północno-wschodni, na wysokości 4.600 m, powietrze stawało się coraz bardziej nieprzejrzyste, a już wczesnym rankiem 1 września weszli lotnicy w gęstą mgłę i w sferę gwałtownych



Polscy zwycięzcy zawodów o puchar Gordon-Benetta kpt. Janusz i por. Brenk w koszu balonu L. O. P. P.

wiatrów. Obawiając się, że balon zacznie opadać, pozbywali się szybko obciążenia (które stanowiły worki z piaskiem); nie na wiele się to jednak przydało, gdyż ciężka mgła coraz bardziej zniżała balon ku ziemi. Wreszcie powłoka balonowej kuli zaczepiwszy o wierzchołki drzew, porwała się, a balon spadając, zniszczył osiem ich sztuk. Znajdujących się w koszu lotników musiały oczywiście niezbyt delikatnie dotknąć sterczące zewsząd gałęzie. Nie mając nic do roboty w uwięzionym koszu pod niezdatnym już do lotu balonem, młodzi aeronauci opuścili się na ziemię i od tej chwili rozpoczęła się ich piesza wędrówka w poszukiwaniu jakiej siedziby ludzkiej. Niełatwą okazało się to sprawą, kraj to bowiem pusty, odludny, pełen rzek, jezior, lasów i błot. Dróg nie ma żadnych, jeno dróżki wydeptane wzdłuż rzek, w poprzek zaś wszędzie grodzą przejście rozległe bagniska. Ludność, bardzo nieliczna, porozrzucana nad brzegami rzek i jezior, a do komunikacji używająca przeważnie czółen.

Dopiero piątego dnia błąkania się wśród bezdroży, dotarli dzielni „baloniarze“ do rzeki Ileksy, skąd dróżka zawiodła ich wreszcie do chaty rybaka. Nie zastali jednak właściciela, który wróciwszy z połowu dopiero wieczorem, przyjął ich, nakarmił i zaopiekował się gościnnie.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Mściciel z Zameczka.

POWIEŚĆ. Napisał Marjan Warta.

(Ciąg dalszy)

Nie dziw tedy, że pani Marta Tyszecka została na gospodarstwie jedynie z wierną Weronką i kilku starymi parobkami do cięższej służby.

Na wojnę poszedł mąż jej Tomasz, mężczyzna pięćdziesięcioletni, zabrawszy z sobą wszystkich trzech synów.

Najstarszy Ludwik ukończył świeżo lat dwadzieścia, średni, Jan, był od niego o dwa lata młodszy, a trzeci, Józef, nie miał jeszcze szesnastu.

Wszyscy czterej służyli w jednym oddziałku, złożonym z kilkudziesięciu nadzwyczaj walecznych partyzantów, którzy już od kilku miesięcy dawali się we znaki regularnej armii rosyjskiej, tępiąc zwłaszcza jej służbę wywiadowczą.

Wypadali jak z pod ziemi, osaczali jadących na zwiady kozaków, i przeszkodziwszy im w spełnieniu zadania, sami znów niknęli tak tajemniczo, jak się zjawiali.

Właśnie w jednej z takich potyczek między powstańcami a rekonesansem nieprzyjacielskim rozegrał się straszny dramat, o którego treści z takim trudem dowiedziała się od rannego syna biedna pani Tyszecka.

Jerzy Boliwanow na czele dziesięciu kawalerzystów krążył w miejscu, którędy niebawem miało przejść kilka pułków świeżo sprowadzonego wojska. Szło o to, żeby się dowiedzieć, czy gdziekolwiek na tej drodze nie przyczaili się powstańcy i czy świeże zasiłki nie wpadną w zasadzkę.

Wtem z poza nieznacznego wzgórka zastąpiła Boliwanowi drogę gromadka Polaków. Było ich ośmiu, z czego połowa sami Tyszeccy.

Dowiedzieli się oni właśnie, którędy owe posiłki miały zdążać do obozu nieprzyjacielskiego, śpieszyli więc dać o tem znać swoim na najbliższym posterunku.

Dwa orszaki jeźdźców spotkały się oko w oko. Już padły pierwsze strzały, nie raniąc jeszcze nikogo po obu stronach, gdy naraz Tyszecki ojciec podniósł w górę białą chustkę i powstrzymując swoich siedmiu towarzyszy, zawołał:

— Panie Boliwanow, zbyt bliskimi jesteśmy sąsiadami, byśmy się mieli bić ze sobą. Czy zgodzi się pan na to, że damy sobie słowo żołnierskie, iż obie strony zawrócą z drogi i rozjadą się w przeciwnych kierunkach. Może za chwilę spotkasz pan, jak nas obecnie, inny oddział polski, a wtedy postąpisz, jak zechcesz. Ale wyjątkowo tym razem nie dopuśćmy, panie, do tego, by między tak bliskimi sąsiadami, jak my, krew się polać musiała. Czy zgoda?

— Nie ma zgody — krzyknął Boliwanow — nie znam sąsiadów na wojnie! Rodzonemu bratu w łeb strzelę, gdy go spotkam w szeregach nieprzyjacielskich... Poddajcie się! Brać ich — zawołał, a jednocześnie z jego słowami Moskale osaczyli ich ze wszystkich stron i zaczęła się walka zażarta.

Polacy walczyli, jak lwy, nie pozwalając się wziąć w niewolę.

(Ciąg dalszy nastąpi)

SZARADA

Matka dziecię **pierwsze - drugie**
Przed krzywdą, przed biedą.
Drugie - czwarte, kiedy długa,
Żyzna i szeroka,
Radość sprawia i uciechę
Dla chłopskiego oka.
Trzecie — czwarte — to marzenie każdego [chłopaka,
Co to z domu rwie się wszędzie, gdzie trzeba [wojaka.
Całość imię zaś niewieście
Lubione i znane,
Po wsiach, jak i w każdym mieście
Często używane.

Rozwiązanie zagadek z Nru 37:

Szarada: wi, la, nów — Wilanów.
Kwadrat magiczny: Olesko, kapral, Stróże, expres, Ludwik, Olesko (wstecz)